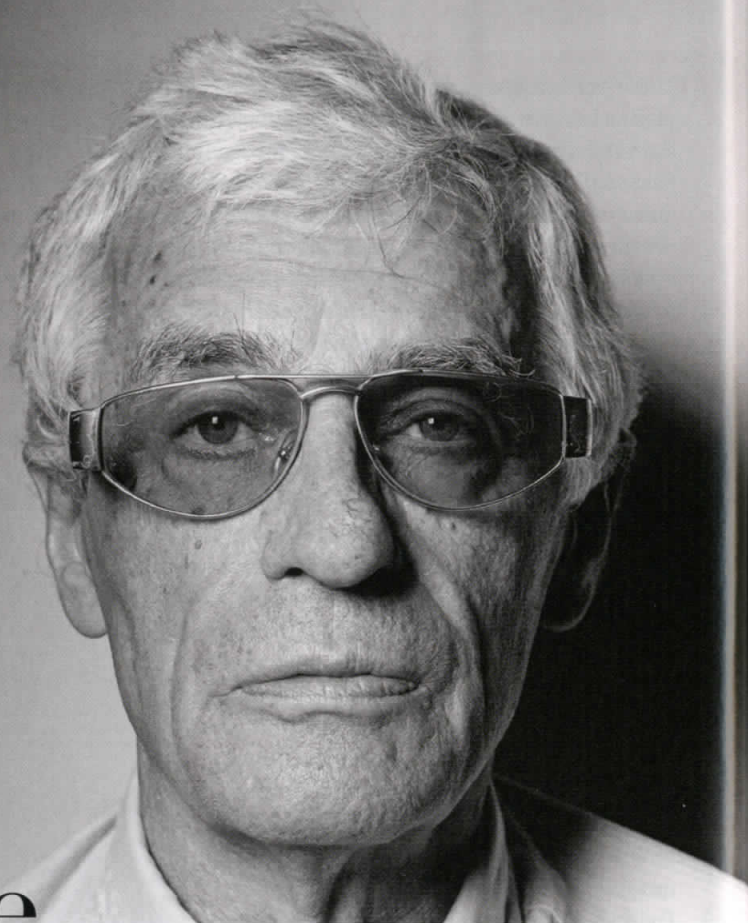


ZABOLAŁA GO UTRATA TEATRU.
NAJPIERW PRZESTAŁ
WYCHODZIĆ Z DOMU, POTEM
Z POKOJU. – KAŻDEGO DNIA
PRÓBOWAŁAM
TO ZROZUMIEĆ – MÓWI
MAGDALENA CWENÓWNA,
ŻONA, DZIŚ WDOWA
PO ADAMIE HANUSZKIEWICZU.
KIEDY CHORUJE BLISKI
CZŁOWIEK, ZMIENIA SIĘ ŻYCIE
CAŁEJ RODZINY.

TEKST **MAGDA ROZMARYNOWSKA**

FOTOGRAFOWAŁ **KAROL GRYGORUK**

Adam
Hanuszkiewicz
należał do ludzi
młodych
duchem.
Miał mnóstwo
planów. Siedem
lat temu odsunął
się od świata



Kiedy choruje cała rodzina

Prędzej umiałabym sobie wyobrazić, że zginie w wypadku samochodowym albo że dopadnie go zawał, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mąż, człowiek pełen życia i energii, niebawem twórczy umysł, tak się odwróci od świata – mówiła Magdalena Cwenówna, żona wybitnego aktora i reżysera teatralnego Adama Hanuszkiewicza, kiedy pół roku temu rozmawiałam z nią o tym, jak wygląda codzienność dzielona z człowiekiem chorym na depresję. Cwenówna, świetna aktorka – przez lata występowała na deskach warszawskiego Teatru Narodowego, a potem w Teatrze Nowym kierowanym przez Hanuszkiewicza – tworzyła ze starszym o 30 lat reżyserem twórczy tandem. – Od początku w naszym związku to Adam był wielkim kreatorem, ja wzięłam na siebie całe życie przyziemne, domowe – wspomina. – Robiłam to z ochotą, widząc, jaki jest szczęśliwy, że może swobodnie pracować. Wymagał ode mnie, bym skupiała się tylko na nim. Nie mieliśmy dzieci. Taki już był, zawsze musiał być w centrum uwagi. Pamiętam spotkanie z nią, kiedy jeszcze żył. Jak wszyscy dźwigający na sobie odpowiedzialność pojawiła się punktualnie. Oczy ukryte za okularami w grubych oprawkach, figura tancerki. Krucha i mocna zarazem. W rozmowie wyznała, że bardzo chciałaby się czasem wy-

plakać, poczuć ulgę, ale nie potrafi. Nie znosi rozczulania się nad sobą, narzekania. Rzeczywiście, nie usłyszałam od niej ani słowa skargi, choć można sobie wyobrazić, jak ciężko jest żyć z kimś, kto żyć nie chce. A może jest odwrotnie – ludzie chorzy na depresję tak bardzo kochają życie, że ich milczenie to zamaskowana bezradność i wołanie o pomoc? – Nie wiem, każdego dnia próbowałam to zrozumieć – mówi Cwenówna.

Kiedy w grudniu Adam Hanuszkiewicz zmarł w wieku 87 lat, media przypominały jego największe osiągnięcia, m.in. legendarną „Balladynę” z 1974 roku wystawioną w Teatrze Narodowym, podczas której Goplana (Bożena Dykiel) wjechała na scenę na hondzie. W artykułach padały określenia: wizjoner, mistrz, kreator. I pytanie: jak to możliwe, że człowiek, który współtworzył historię polskiego teatru, na tak długi czas popadł w zapomnienie?

Adam Hanuszkiewicz tworzył na scenach Narodowego i Powszechnego, był wieloletnim dyrektorem Teatru Nowego w Warszawie. Siedem lat temu został usunięty ze stanowiska (oficjalnie złożył dymisję z powodu złego stanu zdrowia). 80-letni wówczas reżyser, który należał do ludzi młodych duchem i miał pełno planów, uznał tę decyzję za wyjątkowo krzywdzącą. Nikt nie liczył się z jego dorobkiem i zasługami. Teatr przestał istnieć, na jego miejscu stanął hiper-

market. – Znak nowych czasów? – zastanawia się Cwenówna. – Adam z dnia na dzień zamknął się w sobie – wspomina. – Tak jakby odmówił udziału w tym, co się dalej wydarzy. Najpierw przestał wychodzić z domu, potem ze swojego pokoju. Od pewnego czasu w ogóle już nie wstawał z łóżka, najczęściej milczał. To była jego decyzja i należało ją uszanować. Depresja to choroba, której na pierwszy rzut oka nie widać. Niby wszystko jest normalnie, a nie jest. Ten drugi człowiek żyje jakby za szklaną ścianą, broniąc dostępu do siebie – tłumaczy. – Adam mimo choroby miał bardzo sprawny umysł – dodaje. – Namawiałam go, żeby napisał książkę, podzielił się swoją wiedzą i przemyśleniami, ale odmawiał.

Dla młodszej żony taka sytuacja musiała być bardzo trudna. Tym bardziej że wraz z mężem i ona straciła pracę. Całymi latami prowadzili dom otwarty. Gdy dobrze im się wiodło, mieli pełno znajomych. Ci sami ludzie później odwrócili się od nich. „Jest kryzys, nic się nie da zrobić”, rozkładali bezradnie ręce. To było przykre doświadczenie. – Na szczęście mam silny charakter. Od dziecka uczyłam się liczyć przede wszystkim na siebie – podkreśla aktorka. Kiedy jej mąż odizolował się od świata, w domu zapadła przegębająca cisza. Odczuła ją szczególnie mocno, gdy zabrakło ukochanej Suni, towarzyszkii, bliskiej istoty, do której mogła się przytulić, która była jej pocieszeniem. – Czasem kiedy idę się przejść, wyobrażam sobie, że ona biegnie gdzieś za mną – opowiada. Samotne spacerki i sport zawsze dawały jej wytchnienie, pozwalały oderwać myśli od domowej rzeczywistości.

ŻYCIE POD ZNAKIEM ZAPYTANIA

Paweł Kukiz, lider zespołu Piersi, nie przypuszczał, że przyjdzie mu w życiu zmierzyć się z taką sytuacją. Mieszka z rodziną na Opolszczyźnie, w domu na wsi. Domownicy to żona Małgorzata i trzy córki: 20-letnia Julka, 16-letnia Pola i 11-letnia Hania. Są również psy, kanarki, rybki i... zając po wypadku. – Zając też wyleczymy – zapewnia. Słowo „też” odnosi się do stanu zdrowia Hani. Niedawno po raz drugi miała przeszczep nerki.

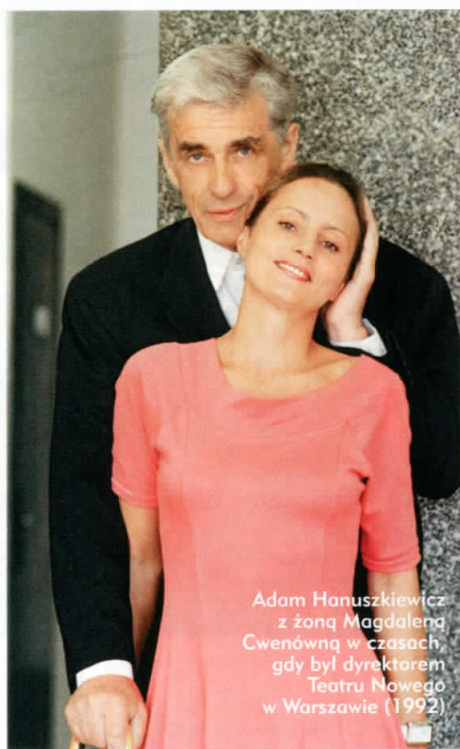
– Rodzice chorych dzieci dobrze znają złotą krzesła na korytarzach w Centrum Zdrowia Dziecka – opowiada Kukiz. – Przesiedziałem na nich niejedną noc, w dniu operacji też tam byłem. Czekalem, modliłem się. Zabieg trwał wiele godzin. Trudno opisać stan napięcia i lęku towarzyszący takim sytuacjom. Kiedy przed trzema laty Hania miała pierwszą transplantację, grałem koncert, którego nie mogłem odwołać. Występowałem na scenie, ale myślami i sercem byłem przy niej.

Choroba oznacza stres, nieustające czuwanie, zawsze włączony telefon, gotowość, by w każdej chwili śpieszyć z pomocą. – Ludziom czasem trudno zrozumieć, że umawiam się, a potem odwołuję spotkania – mówi Kukiz. – Po prostu nie jestem w stanie przewidzieć, co

się wydarzy. Kiedy córce się pogarsza, wszystko jest pod znakiem zapytania: moje trasy koncertowe, występy, nagrania w studiu.

Tak jest od jedenastu lat. Na początku lekarze nie dawali rodzicom wielkich nadziei, na szczęście czarne scenariusze się nie spełniły. Okazało się, że Hania ma szansę przeżyć dzięki dializom. Na zmianę była raz w domu, raz w szpitalu.

Mówi się, że choroba cementuje związki. Niekoniecznie. Jest mnóstwo przykładów na to, że małżeństwa nie wytrzymują obciążeń. Przeważnie uciekają mężczyźni. Zbyt niedojrzali, by zaakceptować fakt, że odtąd cała uwaga żony skupiona będzie na dziecku. – U nas było odwrotnie – mówi muzyk. – Kryzysowa sytuacja zmusiła nas do głębszego spojrzenia na własne życie i zastanowienia się: kim my jesteśmy dla siebie? Gośka jest niezwykle silną osobą. Myślę o niej z podziwem. Nauczyliśmy się dźwigać nasz ciężar razem, wspierać się, dodawać sobie sił. Oboje rozumiemy, że jako rodzina tworzymy wspólny organizm i gdy jakieś ogniwo jest słabsze, to energia wszystkich kieruje się w tę stronę.



Adam Hanuszkiewicz z żoną Magdaleną Cwenówną w czasach, gdy był dyrektorem Teatru Nowego w Warszawie (1992)

DO UTRATY TCHU

Gdy pojawia się w domu, dotyka wszystkich. Dlatego Grzegorz Morze nie mówi „choroba Alicji”, tylko „nasza choroba”. Jego żona cierpi na niezwykle rzadkie schorzenie – idiopatyczne tętnicze nadciśnienie płucne (TNP). Wielu ludzi myli je ze zwykłym nadciśnieniem, a to zupełnie co innego. Grzegorz, choć sam

*Z dnia na dzień
Adam zamknął się
w sobie*

zdrowy, należy do Polskiego Stowarzyszenia Osób z Nadciśnieniem Płucnym i ich przyjaciół. Niedawno współorganizował społeczną akcję informacyjną o TNP. Osobiście rozwiesił w rodzinnej Gdyni i Trójmieście trzysta plakatów.

Alicja przez kilka lat ignorowała sygnały, które łatwo pomylić z infekcją: osłabienie, zmęczenie, zadyszkę. Nie miała czasu pójść do lekarza, no bo małe dziecko, absorbująca praca – wspólnie z mężem wygrali przetarg na prowadzenie uniwersyteckiej księgarni. Dzięki ich wielkiemu zaangażowaniu legendarna Literka gościła znanych pisarzy, m.in.: Güntera Grassa, Czesława Miłosza, Stanisława Barańczaka.

W 1997 roku przed Bożym Narodzeniem Alicja czuła się już bardzo źle. W natłoku spraw organizacyjnych i domowych znów chciała odwleć wizytę u specjalisty, tym bardziej że zbliżały się święta. „Nie może pani czekać”, usłyszała w przychodni. →

– Do głowy nam nie przyszło, że sprawa jest tak poważna – opowiada Grzegorz. Wydarzenia potoczyły się lawinowo. Dla potwierdzenia diagnozy Alicja została skierowana do Warszawy. Rokowania: w najlepszym wypadku dwa lata życia. – Byłem i nadal jestem pod wielkim wrażeniem jej dzielności – mówi mąż. – Nie poddała się rozpacz, nasz dom funkcjonował w miarę normalnie. Dziś myślę, że wielką motywacją dla niej był nasz syn Jasiek. Alicja miała dla kogo żyć.

A PAN, DOKTORZE, NIE UMRZE?

Joanna Pękała zaprasza mnie do mieszkania na warszawskim Bemowie. Na klatce schodowej platforma dla osób niepełnosprawnych. Mąż Joanny cierpi na postępującą dystrofię mięśniową. Choć od trzech lat porusza się na wózku, bez problemu może sam dostać się do domu. Przed blokiem specjalnie oznaczone miejsce parkingowe dla niepełnosprawnych. – Ale zdarzało się, że ktoś zastawiał nam wyjazd – opowiada Joanna. – Wtedy parkowałam za nim i czekałam na reakcję. Winowajca przybiegał, prosił, żeby natychmiast odblokować mu drogę, bo się śpieszy, a ja na to mówiłam: „Chwileczkę, najpierw muszę zjeść obiad”. Pojawiałam się po paru godzinach i zwykle słyszałam: „Przepraszam, zrozumiałem, będę bardziej uważać”.

Kiedyś, gdy mąż jeszcze chodził, pomagała mu zejść po schodach. Drobną, filigranową, podtrzymywała postawnego mężczyznę. Sąsiadka wzruszała się, że to taka kochająca się para. – Strasznie nas to denerwowało – wyznaje Pękała. – Nie liczymy na współczucie, nie potrzebujemy uzalania się ani zachwytów nad naszą dzielnością. Chcemy żyć tak jak inni.

Męża poznała na zabawie tanecznej dla osób na wózkach, na którą zaprosiła ją niepełnosprawna koleżanka. Poprosił Joannę do tańca, wtedy jeszcze nie jeździł na wózku. – Zaimponował mi tym, że nie ukrywał prawdy. Wróciłam do domu i zaczęłam czytać o tym schorzeniu w Internecie. Popłakałam się. A potem otarłam łzy i... spotykałam się z nim dalej. Wkrótce wzięliśmy ślub.

Joanna często słyszy od lekarzy: „Pani wie, że mąż umrze?”. Odpowiada: „A pan, doktorze, nie umrze?”. Albo inne pytanie: „A jak tam

u was z seksem?”. Joanny nie peszą rozmowy na tematy intymne, ale trudno zaakceptować taki brak delikatności. Jest świadoma tego, że czas działa na ich niekorzyść, tylko że to nie powód, by zatrzymywać każdy dzień lękami. Pracują, rozwijają swoje pasje (Joanna pisze doktorat z pedagogiki), podróżują. Robią sobie mnóstwo zdjęć, jakby chcieli zatrzymać w kadrze wszystkie wspólne chwile. A jest ich dużo. – Te osiem lat było tak intensywne i pełne miłości, że starczyłoby za całe długie życie – mówi Joanna. – Odsuwamy od siebie myśl

o najgorszym. Mąż jest bardzo samodzielny, nie lubi być wyręczany. To raczej on robi mi śniadania do łóżka. Jedno, czego nam brakuje, to dziecko. Od lat się o nie staramy. Nie tracimy nadziei, bo cuda się zdarzają.

KIEDY HANIA SIĘ UŚMIECHA

Paweł Kukiz uważa, że od chorych dzieci wiele można się nauczyć: dzielności, pogody ducha, wytrwałości. Przyznaje, że to Hania pokazała mu prawdziwą miłość. Stał się lepszym człowiekiem. A co najważniejsze, bardziej uważnym i kochającym ojcem, także dla starszych córek.

– Nie miały łatwo – wspomina. – Wraz z pojawieniem się Hani cała uwaga została skierowana w jej stronę. Julka musiała szybko wyrosnąć i pomagać mamie. Pola czuła się trochę odsunięta, bo sama jeszcze była mała. Żona po-

święciła najmłodszemu dziecku całą siebie. Wszystko w domu kręciło się i kręci wokół choroby. Ze względu na ryzyko infekcji wymagane są sterylne warunki. Lekarze mówią, że Gosia swoją fachowością, jeśli chodzi o sprawy nefrologiczne, dorównuje już wykwalifikowanym pielęgniarkom. Po pierwszej transplantacji mieliśmy wszyscy moment oddechu, wydawało się, że teraz już będzie dobrze. I było przez jakiś czas. Aż okazało się, że jednak potrzebna będzie druga operacja. Zanim do niej doszło, Hania musiała mieć dializy.

Małgorzata trzy razy w tygodniu jeździła z małą samochodem na zabiegi do Wrocławia, w tym czasie Paweł zajmował się domem. Gotował obiady, odwoził i przywoził starsze córki. – Praca zesłała na dalszy plan – wyznaje. – Niewiele mogłem robić zawodowo, bo w przypadku przewlekłej choroby dziecka niemożliwe jest zaplanowanie czegokolwiek. Taka sytuacja dezorganizuje życie całej rodziny. Nigdy nie



Paweł Kukiz stara się sprawić Hani, najmłodszej córce, jak najwięcej radości. Niedawno przeszła drugi przeszczep nerki. Ich wspólną pasją są wyścigi na quadach

JAKO KOBINA
Tworzymy wspólny dekalog

byliśmy razem na wakacjach. Bo jak Hania czuła się trochę lepiej, to ruszałem w trasę z koncertami, żeby zarabiać na utrzymanie. Jesienią do nas i do innych rodziców dotarła wiadomość, że leki immunosupresyjne, które trzeba brać po przeszczepach, mają drastycznie zdrożeć, bo rząd szukał oszczędności. Na szczęście po protestach wszystko ucichło.

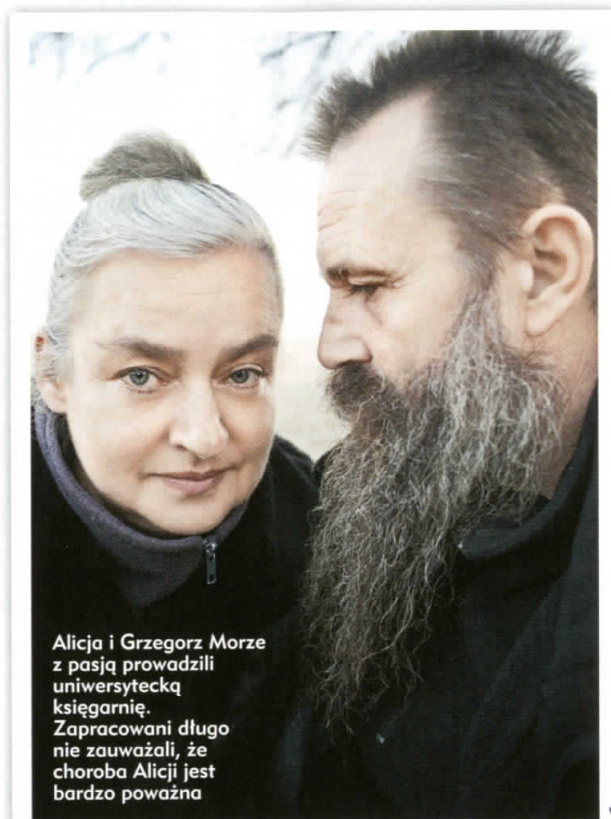
Podczas rozmowy Paweł Kukiz z przyzwyczajenia co chwilę zerka na swój telefon. – O, dostałem SMS od najstarszej córki: „Tatusiu, Kocham cię”.

Przyznaje, że dość późno dojrzał do ojcostwa, tak naprawdę dopiero wtedy, gdy urodziła się Hania. – Kiedy ona się uśmiecha, chce mi się żyć. Jeśli skrzywi się z bólu, to jakby ziemia usuwała mi się spod nóg. A przecież muszę być silny i twardy. Staram się sprawiać jej jak najwięcej radości. Kupiłem dwa quady. Lubimy się na nich ścigać po wiejskich drogach. I muszę przyznać, że z Hani jest ostry zawodnik. Do szkoły długo nie chodziła, bo nie mogła. Na szczęście żona jest nauczycielką i uczyła ją w domu.

Teraz są dobrej myśli, stan córki powoli się poprawia. Napięcie opadło. Muzyk, który od pięciu lat nie miał szansy nagrać żadnego albumu, wrócił do studia. Przygotowuje nową płytę.

WYŚCIG Z CZASEM

Mąż Alicji Morze zdaje sobie sprawę z tego, że jego żona żyje „na kredyt”. Najpierw to miało być kilka miesięcy. Rok po diagnozie przyszła nadzieja. Chorą zajął się w Warszawie profesor Adam Torbicki. – Cudowny człowiek, wspaniały lekarz – opowiada Grzegorz. – Właśnie wtedy wprowadzał na polski grunt pionierski program badawczy finansowany przez koncern farmaceutyczny. Dla chorych to była szansa na dostęp do bardzo drogiego leczenia. Tak zwana podwójnie ślepa próba. Ani chorzy, ani lekarze nie wiedzieli, który z pacjentów dostał lek, a który placebo. Wszyscy byli pod obserwacją. Intuicyjnie czuliśmy, że Alicja trafiła na lek. Brzuch po zastrzykach był tak obolały, że nie mogła przytulić do siebie synka. Bardzo cierpia-



Alicja i Grzegorz Morze z pasją prowadzili uniwersytecką księgarnię. Zapracowani długo nie zauważali, że choroba Alicji jest bardzo poważna

Alicja ma obla kogo iyc

ła, ale ukrywała to przed nami. – Dziesięcioletni wtedy Jaś często pytał: „Mamo, kiedy wyzdrowiejesz?”, albo dziwił się: „Dlaczego nie przychodzisz po mnie do szkoły tak jak inne mamy, tylko siedzisz w aucie?”. Po jakimś czasie zaczęły do nas dochodzić sygnały o ludziach z testowanej grupy. Większość nie do czekała końca badania – wspomina Grzegorz.

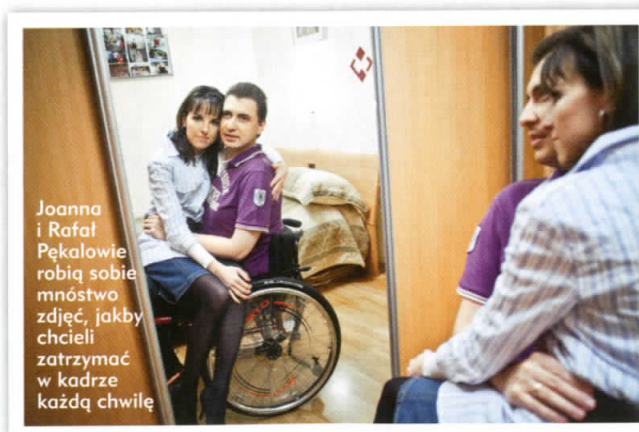
Alicja do dziś nie może oswoić się z odejściem tych, z którymi zaprzyjaźniła się podczas kolejnych pobytów w szpitalu. Najpierw milknie telefon. Potem przychodzi

wiadomość, że osoba, z którą jeszcze trzy dni temu rozmawiała, nie żyje. Sama uznawana jest przez lekarzy za fenomen na skalę światową. Przeżyła trzynaście lat na lekach. Wyprawa po nie raz w miesiącu do Warszawy jest dla niej ogromnym wysiłkiem. Kiedyś przychodziły pocztą kurierską, teraz jednak pacjenci muszą je osobiście odbierać i nikogo nie interesuje, czy mają na to siłę i pieniądze. – To Alicja zawsze była motorem w naszym związku – mówi Grzegorz. – Ona znajduje ciekawe miejsca na mapie, które koniecznie musimy odwiedzić, albo spektakle teatralne, które koniecznie musimy zobaczyć.

Dla Magdaleny Cwenówny odskocznią od codzienności były książki. Uwielbia je czytać, zwłaszcza biografie sławnych ludzi. Może sama coś

kiedyś napisze. Nie o życiu, to zbyt banalne. O warsztacie twórczym Hanuszkiewicza, w końcu przyglądała się jego pracy z bliska przez 30 lat. Z radością wyklada dziś w szkole teatralnej. – Uchodzę za osobę surową – mówi. – Zawsze dużo wymagałam, najwięcej od siebie.

Ze wszystkich cech najbardziej ceni lojalność, udowodniła to, opiekując się mężem do końca. Nigdy nie wiemy, co się wydarzy i jakiej próbie podda nas los. Czasem łatwiej znieść własną chorobę, niż patrzeć na cierpienia bliskiej osoby. Bywa, że w związku to dobre trwa krótko, a złe ciągnie się latami. Być razem, nie odejść, nie zwątpić – to największy sprawdzian. ■



Joanna i Rafał Pękalowie robią sobie mnóstwo zdjęć, jakby chcieli zatrzymać w kadrze każdą chwilę

Nie bierzemy na wspólnie.
Chcemy być jak inni.